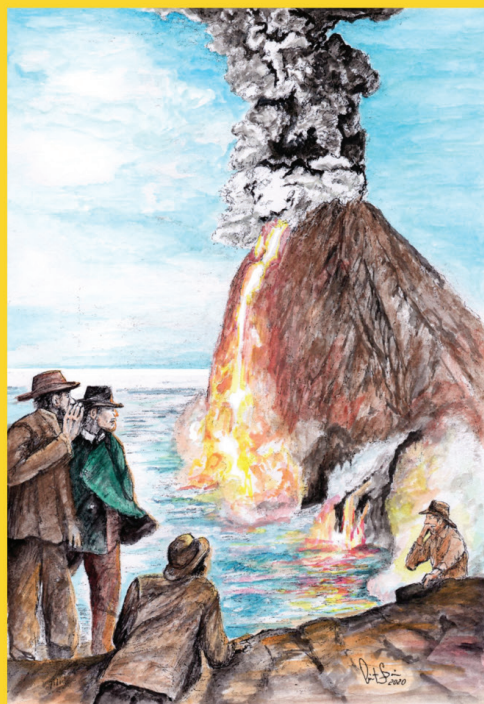




Juliusz Verne

Klondike

(Część druga)



ISBN 978-83-66268-66-1 (całość)

ISBN 978-83-66268-68-5 (cz. 2)

Juliusz Verne

KLONDIKE

Juliusz Verne



KLONDIKE

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Osiemdziesiąta czwarta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Klondyke (Le Volcan d'or) version originale

© Copyright for the Polish translation
by Janusz Pultyn, 2021

32 ilustracje, w tym 10 kart tablicowych kolorowych, 1 mapa:

Damian Christ

© Copyright for the inside illustrations by Damian Christ, 2021

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Skład: Andrzej Zydorczak

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© Wydawca: JAMAKASZ

ISBN 978-83-66268-66-1 (całość)
ISBN 978-83-66268-68-5 (cz. druga)

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział I

Zima w Klondike

Trzęsienie ziemi, bardzo zresztą ograniczone, dotknęło mocno część Klondike leżącą między granicą a Jukonem, którą przecina środkowy bieg Forty Miles Creek. Dało się ono odczuć jeszcze pół ligi w górę rzeki, po drugiej stronie rubieży.

Chociaż Klondike nie jest narażone na częste wstrząsy sejsmiczne, to jego wnętrzności zawierają skupiska kwarcu, skały erupcyjne, co dowodzi, że u narodzin tej krainy działały siły plutoniczne, które teraz śpią tylko i budzą się niekiedy z niezwykłą gwałtownością. Ponadto w całej tej części Gór Skalistych, których pierwsze odgałęzienia wystają przy zbliżaniu się do północnego koła podbiegunowego, wznosi się kilka wulkanów¹, których całkowite wygaśnięcie nie jest pewne.

W każdym razie, choć w tym okręgu nie należy się obawiać trzęsień ziemi czy wybuchów wulkanów, to inaczej rzecz się ma z powodziami powodowanymi nagłymi wylewami *creeks*, które wywołują topnienia śniegów.

Dawson City nie było rzeczywiście przez nie oszczędzane, i jeżeli nie Jukon, to przynajmniej dopływ tej rzeki, Klondike, która oddziela miasto od jego przedmieścia, często wylewa i zabiera łączący te części most.

Natomiast tereny nad Forty Miles Creek spotkała podwójna katastrofa. Całkowite przemieszczanie się ziemi spowodowało tam zniszczenie *claimów* na odcinku wielu kilometrów po obu stronach granicy. Powódź spowodowała zmianę kierunku rzeki, która wyżłobiła sobie nowe koryto przez wąwóz biegnący w północnej części działek 127

¹ W północnej, kanadyjskiej części Gór Skalistych wulkany występują w Kolumbii Brytyjskiej i w południowej części terytorium Jukon, przy granicy z Alaską, gdzie tworzą Wrangell Volcanic Belt, z takimi wulkanami jak Felsite Peak i Rabbit Mountain.

i 129. Wydawało się nawet prawdopodobne, że żadne prace na nich nie będą odtąd możliwe.

Rozmiary tej katastrofy były początkowo trudne do oszacowania. W nocy, chociaż słońce zniknęło pod horyzontem jedynie na dwie i pół godziny, kraj ogarnęła głęboka ciemność. O tym, ile domków, chat, szałasów górników zostało tak zniszczonych, że większość z nich stała się odtąd bezdomna, że liczba rannych, liczba zabitych, z których jednych przysypały gruzy, a inni utonęli w nowym łóżysku *creek*, była znaczna, dowiedziano się dopiero następnego dnia. To, że cała owa rzesza emigrantów rozproszona na placarach będzie zmuszona opuścić tę krainę, w której wydobyć przestanie być możliwe, miało stać się jasne dopiero po uświadomieniu sobie rozmiarów katastrofy.

Rzeczywiście, ta całkowicie nieodwracalna, jak się zdawało, katastrofa spowodowała zalanie przez część wód Forty Miles Creek złóż leżących nad dwoma brzegami rzeki. Okazało się, że pod naporem sił podziemnych uniosło się dno jej łóżyska, które opróżniłoby się całkowicie, gdyby dno koryta zostało dźwignięte do poziomu jego brzegów. Należało więc sądzić, że skutki powodzi nie były tymczasowe. Jak w tych warunkach można było wznowić kopanie w ziemi, którą płynąca woda pokrywała do wysokości pięciu, sześciu stóp, a dało się spowodować, żeby spłynęła. Nowe *rio* będzie zmierzało na południe aż do miejsca, w którym stanie się dopływem innego *creek*.

W jakim przerażeniu i udręce spędzili noc biedni ludzie dotknięci tą nagłą katastrofą! Musieli dotrzeć na wzniesienia, żeby nie zagarnęła ich wylana woda. Nie mieli tam żadnej osłony, a burza utrzymywała się do piątej rano. Pioruny raz za razem uderzały w brzozy i osikowe lasy, w których chowały się rodziny. W tym samym czasie nie przestawał padać ulewny deszcz zmieszany z gradem. Gdyby Lorique, wspiąwszy się w górę wąwozu, nie wskazał jaskini wydrążonej w prawym jego zboczu, do której on i Summy Skim przenieśli Bena Raddle'a, nigdzie nie znaleźliby schronienia.

Można sobie bez trudu wyobrazić, jakie myśli musiały prześladować obu kuzynów! Nie cofnęli się przed jakże długą i ciężką podróżą do Klondike tylko po to, aby teraz stać się ofiarami takiej katastrofy!

Wszystkie ich wysiłki poszły na marne. Nie zyskają już nic ze swej schedy, a stracili nawet to, co wydobyć przyniosło im przez sześć tygodni. Przepadły całkowicie samorodki i złoty pył pozyskane od czasu wznowienia prac pod kierunkiem inżyniera. Po zawaleniu się domku Lorique'a zabrała go powódź. Nic z niego nie dało się uratować, a teraz jego szczątki spływały z nurtem *rio*.

Ponadto kiedy burza ustała, po opuszczeniu groty na kilka tylko chwil, ponieważ nie chcieli zostawić Bena Raddle'a samego, Summy Skim i majster mogli rozpoznać rozmiary katastrofy. Zarówno działka 127, jak i 129 zniknęły pod wodą. Tym, co stało się z Hunterem i Malone'em, Summy Skim nie przejmował się ani trochę. W każdym razie, jeżeli chodziło wyłącznie o nich, kwestia graniczna wyglądała na rozwiązana. To, czy sto czterdziesty pierwszy południk zostanie przesunięty bardziej na wschód, czy na zachód, nie miało już znaczenia dla obu *claimów*. Nieważne, czy terytorium to będzie alaskańskie, czy kanadyjskie. Płynął po nim nowy *creek*, oto wszystko.

To, czy liczba ofiar trzęsienia okaże się znaczna, będzie wiadomo dopiero po dochodzeniu. Z pewnością rodziny w swoich chatkach lub szałasach musiały zostać zaskoczone czy to wstrząsami ziemi, czy powodzią, i należało się obawiać, że większość zginęła, nie mając czasu na ucieczkę. Ben Raddle, Summy Skim i Lorique tylko cudem uniknęli śmierci, a inżynier nie wyszedł ze sprawy cały i zdrowy.

Tak więc Summy Skim mógł jedynie wrócić do Dawson City i zająć się szukaniem sposobów na przewiezienie tam Bena Raddle'a w możliwie najkrótszym czasie.

Nie trzeba mówić, że nie było już mowy o sporze Huntera ze Skimem. Sprawa starcia się następnego dnia w pojedynku upadła sama przez się. Inne zmartwienia zajmowały obu przeciwników, którzy być może już nigdy nie staną twarzą w twarz.

Kiedy zresztą chmury się rozproszyły, a słońce oświetliło scenę dramatu, nie dostrzeżono żadnego z dwóch Teksaszczyków. Z zajmowanego przez nich domu u wylotu wąwozu, którym spływały teraz wody Forty Miles, nic nie zostało. Natomiast *claim* 127 zalała powódź, tak jak objęła również 129 i wszystkie, które znajdowały się za nimi

na prawym brzegu *creeku*. Po sprzęcie stojącym na ich powierzchni, *sluices*, *rockerach* i pompach, nie było widać najmniejszego śladu. Nurt płynął szybciej niż zwykle, gdyż burza poprzedniego dnia spowodowała przybór wód, a wyłom dokonany na prawym brzegu nie obniżył ich poziomu. Było prawdopodobne, że gdyby tak się nie stało, rzeka wylałaby także na lewym brzegu, a wtedy szkody byłyby znacznie większe.

A co z parą Teksańczyków, czy udało im się ująć cało z tej katastrofy, czy też byli jej ofiarami? Ich los pozostawał nieznan, tak samo jak los pracujących dla nich ludzi. Summy Skim zresztą, powtórzmy to, ani myślał się o nich martwić. Jego jedyną troską było zabranie Bena Raddle'a do Dawson City, gdzie opieki mu nie zabraknie, czekanie tam na jego powrót do zdrowia i jeśli zdążą jeszcze to uczynić, wyruszenie w drogę do Skagway, do Vancouver, do Montrealu. Ben Raddle i on nie mieli już żadnych powodów, aby przedłużać pobyt w Klondike. Działka 129 nie znajdzie teraz nabywców, gdyż spoczywała siedem lub osiem stóp pod wodą. Dlatego najlepiej byłoby jak najszybciej opuścić ten ohydny kraj, „w którym – jak nie bez sporej racji mówił Summy Skim – ludzie zdrowi na ciele i umyśle nie powinni się nigdy pojawiać”.

Tym zaś, co stanowiło dla niego przyczynę najbardziej bolesnych rozmyślań, była całkowicie zrozumiała obawa, że powrót do zdrowia Bena Raddle'a zajmie kilka tygodni.

Tymczasem połowa sierpnia miała wkrótce upłynąć. Przed zakończeniem drugiej przyjdzie zima, tak przedwczesna na tej wysokiej szerokości geograficznej, i uczyni niemożliwym do pokonanie krainy jezior i przełęczy Chilkoot. Także Jukon stanie się wkrótce niezdalny do żeglugi, a ostatnie *steamboats* wyruszą, aby spłynąć aż do ujścia tej rzeki.

W perspektywie zaś pozostania przez siedem lub osiem miesięcy pogrzebanym pod śniegami Klondike, z mrozami wynoszącymi pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt stopni, nie było nic przyjemnego. Dlatego też trzeba było, nie tracąc ani dnia, wrócić do Dawson City, powierzyć Bena Raddle'a opiece doktora Pilcoksa, oddać go w ręce sio-

stry Marthe i siostry Madeleine, z nakazaniem mu jak najszybszego odzyskania zdrowia.

Jednak przede wszystkim należało się zająć zdobyciem środka transportu. Szczęśliwym trafem Neluto odzyskał swoją dwukółkę w stanie nienaruszonym, ponieważ zostawił ją na zboczu poza zasięgiem wód. Natomiast koń, który pasł się nieprzywiązany, ogarnięty strachem zszedł ze stoku wąwozu i został zaprowadzony do jego pana.

– No dobrze, ruszajmy... ruszajmy od razu – powtarzał ciągle Summy Skim.

– Tak – odpowiedział Ben Raddle – i żałuję bardzo, że wciągnąłem cię w tę żalostną sprawę...

– To nie o mnie chodzi, ale o ciebie – odparł Summy Skim. – Najstaranniej jak można owiniemy twoją nogę, położymy cię w dwukółce na porządnej ściółce z suchej trawy. Zajmę w niej miejsce z Nelutem, a Lorique dołączy do nas w Dawson City, kiedy tylko zdoła. Będziemy jechali tak szybko, jak... Nie, chcę powiedzieć: tak powoli, jak okaże się konieczne, żeby oszczędzać ci wstrząsów. Kiedy już trafisz do szpitala, nie będziesz się musiał niczego obawiać. Doktor Pilcox postawi cię na nogi i oby niebiosy sprawiły, że będziemy mogli wyjechać przed mroźną porą...

– Kochany Summy – powiedział wtedy Ben Raddle – moje leczenie może wymagać wielu miesięcy, a rozumiem, jak bardzo musi ci się śpieszyć z powrotem do Montrealu... Czemu nie miałbyś wyjechać sam?

– To... nigdy – odrzekł Summy Skim. – Prędeż już złamię sobie nogę, a doktor Pilcox zajmie się wówczas naprawieniem dwóch ludzi zamiast jednego!

Tego samego dnia dwukółka wioząca Bena Raddle'a wyruszyła do Fort Cudahy po drogach zatłoczonych ludźmi udającymi się w poszukiwaniu pracy na innych placach. Podążała prawym brzegiem Forty Miles Creek, poniżej punktu, w którym rzeka rozlała się, zmierzając na południe. Wzdłuż niej działały *claimy*, do których nie dotarła powódź. Na kilku z nich jednak, choć nie zostały zalane przez wo-

dę, nie prowadzono wtedy wydobywania. Dotknięte mocno trzęsieniem ziemi, które dotarło aż na pięć lub sześć kilometrów od granicy, wyglądały żałośnie: miały połamane urządzenia, zasypane studnie, powalone słupy, zniszczone domki. Nie były jednak całkowicie zrujnowane, i prace na nich będzie można wznowić bez dłuższej przerwy.

Dwukółka nie jechała szybko, gdyż wyboje złych dróg powodowały ogromne cierpienie rannego. Nie było przy tym trudno zdobywać wyżywienie, choć za wysoką cenę – złoża zostały ostatnio zaopatrzone w prowiant przez spółki z Klondike.

Po dwóch dniach pojazd zatrzymał się w Fort Cudahy.

Summy Skim nie ościagał się oczywiście z troszczeniem się o rannego, ale nie mógł w żaden sposób nastawić złamanej nogi. Zresztą Ben Raddle, choć jego cierpienia były bardzo mocne, znosił je bez narzekania.

Niestety, nie było lekarza w Fort Cudahy ani w Fort Reliance, dokąd wózek dotarł czterdzieści osiem godzin później.

Summy Skim słusznie się niepokoił, żywiąc obawy, że stan kuzyna pogorszy się z upływem czasu i z brakiem leczenia. Widział dobrze, że Ben, żeby go niepotrzebnie nie martwić, trzymał się dzielnie, ale od czasu do czasu wymykały mu się okrzyki bólu i było aż nadto pewne, że ogarniały go gwałtowne ataki gorączki.

Trzeba więc było wyruszyć ponownie i posuwać się wzdłuż prawego brzegu Jukonu, którądy prowadziła najkrótsza droga do stolicy Klondike. Dopiero w szpitalu w Dawson City możliwe będzie leczenie Bena Raddle'a. Po dwóch kolejnych dniach jazdy został tam ostatecznie przyjęty po południu szesnastego sierpnia.

Nie sposób opisać smutku, jaki odczuły siostra Marthe i siostra Madeleine, kiedy zobaczyły swojego rodaka w takim stanie. Ledwo je rozpoznawał, gdyż majaczył rozpalony wysoką gorączką. Summy Skim w kilku słowach opowiedział siostrze przełożonej i zakonnicom o tym, co się stało. Rannego umieszczono w małej izdebce na uboczu i pośpieszono powiadomić o nim doktora Pilcocksa.

Summy Skim powtarzał obu siostrom zakonnym:

– Widzą siostry, że miałem rację, mówiąc, kiedy zabierałem was do Dawson City, że mamy w tym... interes osobisty!

– Panie Skim – odpowiedziała siostra Marthe – pański kuzyn będzie leczony jako najdroższy nam pacjent i wyzdrowieje... kiedy spodoba się Bogu...

– No cóż, droga siostro, proszę Boga, aby nastąpiło to jak najszybciej i zanim zima uniemożliwi nam wyjazd!

Doktor Pilcox, wezwany natychmiast do szpitala, znalazł się tam godzinę po przybyciu Bena Raddle’a.

Nowina o trzęsieniu ziemi, które objęło tereny nad Forty Miles Creek, w Dawson City znana była od kilku dni, wiadano także, że jego ofiarą padło około trzydziestu osób. Doktor Pilcox nie mógł jednak podejrzewać, że jedną z nich był inżynier.

– Coś takiego! – zawołał ze zwykłą u niego wylewnością. – To pan, panie Raddle... ze złamaną nogą...!

– Tak, panie doktorze – odpowiedział Summy Skim. – Mój biedny Ben strasznie cierpi...

– Dobrze... dobrze... to nie strasznego – mówił dalej lekarz. – Oddamy mu jego nogę...! Bardziej niż lekarza potrzebuje chirurga... a nawet konowała...! Może pan być spokojny, staniemy się konowalami! Będzie, jak należy!

(Następnie)¹ lekarz zbadał Bena Raddle’a. Leżący na łóżku inżynier był całkowicie świadomy, ale ogromnie cierpiał. Doktor stwierdził, że miał on tylko jedno proste złamanie poniżej kolana – złamanie, które bardzo umiejętnie złożył; potem kończynę umieszczono w aparacie zapewniającym jej całkowite unieruchomienie, a Pilcox powiedział:

– Drogi kliencie, będzie pan jeszcze silniejszy niż przedtem i zyska nogi jelenia albo łosia... a przynajmniej jedną...

– Ale kiedy...? – spytał Summy Skim.

– Za miesiąc lub sześć tygodni... Rozumie pan dobrze, panie Skim, kości nie spaja się jak dwóch kawałków żelaza rozgrzanych do białości...! Nie... to wymaga czasu, jak wszystko...

– Czasu...! Czasu...! – szeptał Summy Skim.

¹ J. Verne napisał „Lorsque” (przyp. red. fr.); *lorsque* znaczy „kiedy”, „skoro”.

– Cóż może pan poradzić – odparł doktor Pilcox – to natura tu działa, a jak pan wie, natura nigdy się nie spieszy! Właśnie dlatego wymyśliła cierpliwość...

– I pogodzenie się z losem – dodała siostra Madeleine.

Pogodzić się z losem to było najlepsze, co Summy Skim mógł zrobić! A przecież widział dobrze, że pora mroźna nadejdzie zanim Ben Raddle znów stanie na nogi! Czy można jednak wyobrazić sobie kraj, w którym zima zaczyna się w pierwszych tygodniach września, i to taka zima, że śniegi i lody czynią go niedostępnym? Ben Raddle zaś, dopóki nie zostanie całkowicie wyleczony, jak mógłby stawiać czoła trudom podróży w niskich temperaturach Klondike, pokonać przełęcz Chilkoote, aby w Skagway zdołać się zaokrętować na *steamboat* udający się do Vancouver...? Ze statków spływających Jukonem aż do Saint-Michael ostatni wyruszy za piętnaście dni, pozostawiając za sobą tworzące się na rzece lody...!

I właśnie dwudziestego tego miesiąca *scout*, po różnych „prowadzeniach”, jakich dokonywał podczas tego sezonu, przybył do Dawson City.

Pierwszą troską Billa Stella było dowiedzenie się, czy panowie Ben Raddle i Summy Skim skończyli załatwiać sprawy związane z *claimem* 129, czy pozbyli się tej posiadłości i czy czynią przygotowania do powrotu do Montrealu.

Najlepiej mógł zacerpnąć języka u obu zakonnic i poszedł do szpitala.

Jakże się zdumiał na wieść, że Ben Raddle jest leczony i że nie zdoła wyzdrowieć przed upływem sześciu tygodni.

A kiedy spotkał się z Summy'm Skimem, ten mu oświadczył:

– Tak, Billu, w takiej właśnie sytuacji jesteśmy! Nie tylko nie sprzedaliśmy działki 129, ale też już jej nie ma...! I nie tylko nie ma działki 129, ale też nie możemy opuścić tego okropnego Klondike, aby udać się do kraju nadającego się do mieszkania w nim...!

Scout dowiedział się następnie, gdyż o niej nie wiedział, o katastrofie, której sceną były okolice nad Forty Miles, i o tym, jak podczas niej Ben Raddle został poważnie ranny.

– To właśnie jest najgorsze – zapewnił Summy Skim – bo przecież nie nosimy żaloby po działce 129, a ja nie dbam wcale o 129; i co za pomysł miał wuj Josias, kupując 129 i umierając, żeby zostawić je nam...!

Należało słyszeć, jak Summy Skim wymawiał tę liczbę; to „jeden”, po którym następowało „dwa” i „dziewięć”, budziły w nim przerażenie!

– Och! Billu! – zawołał. – Gdyby biedny Ben nie padł jego ofiarą, jakże w głębi duszy błogosławiłbym to trzęsienie ziemi...! Uwolniło nas od uciążliwego dziedzictwa...! Koniec z *claimem*, koniec z wydobyciem na nim złota, a mój kuzyn byłby zmuszony zrezygnować z zostania poszukiwaczem złota... a nawet z targowania się z jakimkolwiek syndykatem!

– Czyli w takim razie – powiedział scout – zamierza pan spędzić w Dawson City całą zimę...?

– Inaczej mówiąc, na biegunie północnym! – odparł Summy Skim.

– Tak, zatem po przybyciu z moimi ludźmi, aby panów zabrać... – rzekł Bill Stell.

– Nie zabierzecie nas, Billu, i powrócicie sami...

– Czy przynajmniej z Nelutem...?

– Nie, bo ten dzielny Indianin obiecał mi, że zostanie z nami...

– Niech tak będzie – przystał scout – ale z wyruszeniem w drogę nie mogę czekać dłużej niż do pierwszego września, jeśli chcę dotrzeć do Skagway...

– No to wyruszcie, mój drogi Billu...! – powiedział Summy Skim tonem rezygnacji, w którym słychać było rozpacz.

Wyruszenie to nastąpiło właśnie wskazanego dnia, a przedtem scout pożegnał się z dwoma Kanadyjczykami, obiecując im przybyć po nich wraz z powrotem wiosny...

– Tak... za osiem miesięcy! – szepnął ze złością Summy Skim.

Przynajmniej leczenie Bena Raddle’a postępowало, jak należy. Nie wystąpiły żadne powikłania. Doktor Pilcox zapewniał, że nie mógłby być bardziej zadowolony. Jak powtarzał, noga jego pacjenta stanie się jeszcze mocniejsza i będzie warta dwóch.

Ponadto Ben Raddle, dobrze pielęgnowany przez obie zakonnice, znosił wszystko cierpliwie. Kiedy jego kuzyn wyruszał na polowanie z wiernym Nelutem, jeśli tylko pozwalała na to pogoda, on na bieżąco śledził rynki w Dawson City i nowe odkrycia na terenach złotonośnych. Jakże mógł nie być dokładnie informowany przez takie gazety jak „Słońce Jukonu”, „Słońce Północy”¹, „Samorodek Klondike”²?! Czy przypadek działki 129 oznaczał, że w tym kraju nie było już nic więcej do roboty? Czy nie istniały inne *claimy*, które można było kupić, a potem prowadzić na nich wydobywanie? Instynkt inżyniera sprawił, że Ben Raddle nabrał upodobania do prac prowadzonych nad Forty Miles Creek... Pilnował się jednak mocno, żeby nie mówić o tym Summy’emu Skimowi, który tym razem nie zdołałby powściągnąć swego całkowicie uzasadnionego oburzenia.

Jak zatem widać, choć gorączka wywołana raną minęła, to gorączka złota – owa endemiczna choroba, która pochłonięła tak wiele ofiar – nie opuściła Bena Raddle’a, i nic nie zdawało się wskazywać, żeby był blisko wyleczenia się z niej. Spalała go chęć nie tyle posiadania cennego metalu, ile zostania poszukiwaczem bogatych placów!

Dlatego jego wyobraźni nie miałyby rozpałać nowiny codziennie głoszone w gazetach, wiadomości o *claimach* w górach nad Bonanza, Eldorado, Little Skookum! Jeden pracownik w ciągu godziny pozyskiwał tam złoto za nawet sto dolarów! Wykop o długości dwudziestu czterech stóp i szerokości czternastu przynosił tam osiem tysięcy dolarów! Syndykat z Londynu dopiero co za cenę miliona siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy franków zakupił dwa *claimy* nad Bear i Dominion! Noszący numer 26 *claim* nad Eldorado był do odstąpienia za dwa miliony, a każdy pracujący na nim każdego dnia zbierał złoto

¹ *Słońce Północy* – właściwie „Yukon Midnight Sun”; J. Verne błędnie uznał, że tytuł należał do dwóch gazet; tygodnik, ukazywał się w czerwcu 1898 roku do 1905, redaktorem był Gene Kelly, występował też pod tytułami „Yukon Sun”, „Daily Morning Sun”, „Yukon Sun and Klondike Pioneer” i „Yukon Weekly Sun”.

² *Samorodek Klondike* („Klondike Nugget”) – druga gazeta, która zaczęła ukazywać się w Dawson City, pierwszy numer wyszedł 16 czerwca 1898 roku, wydawana do 1903, w 1898 ukazywała się dwa razy w tygodniu, pierwszym redaktorem był Eugene Allen, od roku 1899 jego brat George Allen.

o wartości osiągającej sześćdziesiąt tysięcy franków! Czyż pan Oglivie¹ nie zapewniał, a był on wybitnym znawcą, że w Dôme, na linii działu wód między Klondike Creek a Indian River, będzie można wydobyć złoto warte sto pięćdziesiąt milionów franków...?

A przecież, pomimo tego mirażu, nie powinno się zapominać o tym, co książd z Dawson City powtarzał Francuzowi, panu Amésowi Semile'owi², podróżnikowi, jednemu z najlepszych badaczy tych złoto-nośnych obszarów:

„Jeśli podczas jego wyprawy pana również ogarnie gorączka złota, powinien pan zapewnić sobie łóżko w moim szpitalu. Będzie pan przepracowany, zwłaszcza jeśli znajdzie choćby odrobinę złota, a występuje ono w całym kraju. Oczywiście nabawi się pan szkorbutu. Za dwieście pięćdziesiąt franków rocznie wydają abonament, który uprawnia do pryczy i darmowej opieki lekarskiej. Wszyscy go ode mnie biorą. Oto pański *ticket!*”³

Jeśli chodzi o taką opiekę, to Ben Raddle był nią otoczony w szpitalu. Ale czy pasja, której nie zdoła się oprzeć, nie zawiedzie go daleko od Dawson City, ku nowym obszarom, na których odkryte zostaną złoża? Czy nie podzieli wówczas nieszczęść tak wielu ludzi, którzy ginęli, nie mogąc powrócić? Tak, wychodziły tam gazety powtarzające: Klondike przyniosło siedem milionów pięćset tysięcy franków w roku 1896, dwanaście milionów pięćset tysięcy franków w 1897, a ta suma w 1898 nie będzie mniejsza niż trzydzieści milionów!⁴

W tym czasie Summy Skim dowiadywał się u gubernatorów, czy Teksańczycy Hunter i Malone byli widziani od czasu katastrofy nad Forty Miles Creek.

¹ Oglivie – powinno być: Ogilvie.

² Amés Semire – u J. Verne'a: Amis Semalé; pseudonim Raymonda Auzias-Turenne'a (1861-1940), francuskiego publicysty, dyplomaty i bankiera; od roku 1885 mieszkał w Ameryce Północnej, autor kilku książek, np. *Voyage au pays des mines d'or: le Klondike* (1899) i *Le roi du Klondike* (1901), należały do źródeł J. Verne'a, z tej pierwszej (s. 182) pochodzą dane o działkach.

³ Cytat pochodzi z książki Raymonda Auzias-Turenne'a *Voyage au pays des mines d'or: le Klondike*, s. 188; *ticket* (ang.) – bilet, talon.

⁴ Należy zauważyć, że wydobyte w okręgu wyniosło pięćdziesiąt milionów w roku 1898 i osiemdziesiąt milionów w 1899 (przyp. red. fr.).

Z pewnością żaden z nich nie wrócił do Dawson City, gdzie swą obecność jak zwykle ogłosiliby tysiącami wybryków. Spotkano by ich w kasynach, w domach gry, we wszystkich miejscach rozrywki, w których grali pierwsze skrzypce. Czyż nie nadeszła pora roku, w jakiej ci, którzy zamiast po zbiciu majątku wracać do swoich krajów, pozostawali w stolicy Klondike, woleli w niej czekać na następny sezon prac? Tam przez siedem albo osiem miesięcy z powodu wszelkiego rodzaju nadmiernych wydatków, z powodu ogromnych strat w różnych grach zostawiali większą część swoich zysków! Tak Hunter czynił już wcześniej, tak uczyniłby ponownie, gdyby tam był. Ale nic o nim nie słyszano! Nikt nie wiedział, co się stało z nim i z jego towarzyszem. Mogli zginąć podczas trzęsienia ziemi nad Forty Miles Creek, wciągnięci przez wiry nowego *rio*. Ponieważ jednak nie znaleziono żadnego z Amerykanów pracujących na działce 127, a trudno było przypuszczać, żeby wszyscy padli ofiarą katastrofy, istniały powody, by sądzić, że Hunter i Malone ze swoimi ludźmi wyruszyli ku pokładowi pod Circle City i nad Birch Creek, gdzie wszczęli nowe prace.

W połowie października Ben Raddle mógł wstawać z łóżka, a doktor Pilcox był nieustannie dumny z jego zdrowienia. Oczywiście przyczyniały się do tego starania doktora, ale w równej mierze także siostry Marthe i siostry Madeleine, a przecież te poświęcające się zakonnice nie przestawały nigdy wysilać się także dla innych chorych przepełniających szpital, który większość z nich opuści, wyjeżdżając tylko na cmentarz w karawanie zaprzężonym w psy. Trzeba wszakże powiedzieć, że choć Ben Raddle był już na nogach, to musiał nadal uważać na siebie i nie mógłby zaryzykować podróży z Dawson City do Skagway. I tak zresztą było już na nią za późno. Padały obficie pierwsze śniegi zimy, rzeki zaczynał skuwać lód, żegluga nie byłaby już możliwa ani po Jukonie, ani po jeziorach. Summy Skim wiedział doskonale, że jest skazany na spędzenie w Klondike całej tej pory zimnej, trwającej siedem lub osiem miesięcy. Średnia temperatura osiągała już piętnaście stopni poniżej zera, a czekano na jej spadek jeszcze do pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu.



Rzeczywiście, pod brzozą na śniegu leżał jakiś mężczyzna.
Nie ruszał się ani trochę. Mógł być martwy, zamrożnięty na śmierć.

Obaj kuzyni wybrali więc pokój w hotelu przy Front Street i we French Royal Restaurant¹ jadalі posiłki po wygórowanych cenach, nie płacąc jednakże za kurczaki po sto pięćdziesiąt franków za parę.

Kiedy Summy Skim mówił czasami, kręcąc głową:

– Najgorsze w tym wszystkim jest to, że przed zimą nie zdołaliśmy opuścić Dawson City!

Ben Raddle poprzestawał na odpowiedzi:

– Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie sprzedaliśmy naszego *claimu* przed katastrofą, a może jeszcze gorsze, że nie mamy możliwości prowadzenia na nim dalszego wydobywania!

Wtedy, aby nie rozpoczynać całkowicie daremnej sprzeczki, Summy Skim brał strzelbę, wołał Neluta i wychodził na polowanie w okolicach miasta.

Należy również zauważyć, że kilka dni po przybyciu Bena Raddle'a do Dawson City wrócił Lorique, że obaj odbywali długie dyskusje i łatwo można się domyśleć, o czym inżynier i majster mogli rozmawiać przy pełnej zgodności poglądów na jedyny temat, jaki był wówczas poruszany.

Minął jeszcze jeden miesiąc. Wahania słupka termometru były naprawdę niezwykle. Opadał on do trzydziestu lub czterdziestu stopni poniżej zera i podnosił się do piętnastu bądź dziesięciu, w zależności od kierunku wiatru. (Mróz)² przychodził po śnieżycach.

Za każdym razem, kiedy pozwalała na to pogoda, Summy Skim polował z Nelutem i miał okazję zastrzelić kilka niedźwiedzi, które mrozy sprowadziły z gór w stronę miasta.

Pewnego dnia, siedemnastego listopada, on i Neluto znaleźli się mniej więcej o ligę na północ od Dawson City. Mieli udane polowanie i szykowali się do powrotu, kiedy Indianin zatrzymał się i wskazując na drzewo rosnące około pięćdziesięciu kroków od *rio*, powiedział:

– Człowiek... tam...

– Człowiek...? – zapytał Summy Skim.

¹ *French Royal Restaurant* – taka restauracja istniała w Dawson City, jej właścicielem był Peter E. DeVille, w grudniu 1898 roku zamknięta.

² Zostawione puste miejsce (przyp. red. fr.).

Rzeczywiście, pod brzozą na śniegu leżał jakiś mężczyzna. Nie ruszał się ani trochę. Mógł być martwy, zamrożony na śmierć, ponieważ temperatura była bardzo niska.

Summy Skim i Neluto podbiegli do niego. Był to mężczyzna po czterdziestce, z długą brodą, zamkniętymi oczami, a jego twarz wyrażała wielkie cierpienie. Jeszcze wszakże oddychał, choć tak słabo, że każdy jego oddech mógł być ostatnim.

Summy Skim rozchylił futrzany płaszcz z kapturem, który miał na sobie ten człowiek, i w jednej z kieszeni znalazł skórzany portfel zawierający kilka listów. Adres brzmiał: Pan Jacques¹ Laurier, a stempeł był paryski.

– Francuz! – zawołał Summy Skim.

Chwilę później mężczyznę umieszczono w wozie, który z pełną prędkością pojechał w stronę stolicy Klondike.



¹ „Jacques” wstawiono w miejsce przekreślonego imienia „François” (przyp. red. fr.).

Rozdział II

Przeszłość kraju, do którego Historia umierającego

Tego popołudnia dwukółka Summy'ego Skima zatrzymała się przed drzwiami szpitala. Mężczyzna, którego przywiozła, został zabrany do jednej z sal, gdzie znajdowało się około trzydziestu łóżek, i położony w sąsiedniej izdebce, którą Ben Raddle zajmował aż do swojego wyzdrowienia.

Umieszczony w tym pokoju pacjent nie musiał znosić sąsiedztwa innych chorych. Summy Skim uzyskał to, mówiąc siostrze przełożonej:

– To Francuz, prawie rodak! To, co siostra zrobiła dla Bena, proszę uczynić dla niego, i mam nadzieję, że doktor Pilcox wyleczy go tak, jak wyleczył mojego kuzyna.

Siostra Marthe i siostra Madeleine mówiły podobnie, i Jacques Laurier¹ leżał teraz na łóżku, do którego lekarz przyszedł bez zwlekania.

Ben Raddle, powiadomiony przez Neluta, przybył pośpiesznie i był obecny podczas pierwszej wizyty lekarza.

Francuz nie odzyskał przytomności, a oczy wciąż miał zamknięte. Doktor Pilcox stwierdził, że puls był bardzo słaby, a oddech ledwo wyczuwalny. Nie zauważył żadnej rany na tym ciele przerażająco wychudzonym wskutek głodowania, wyczerpania, nędzy. Nie budziło wątpliwości, że nieszczęśnik padł z wycieńczenia przy drzewie, pod którym trafił na niego Summy Skim, tak samo jak to, że mróz by go zabił, gdyby spędził noc bez schronienia i bez pomocy.

– Ten człowiek jest niemal zamarznięty – powiedział doktor Pilcox.

¹ Imię „François” zostało tu zachowane. Dlaczego Michel Verne zmienił nazwisko „Laurier” na „Ledun”? (przyp. red. fr.).

Francuza owinięto kocami, podawano mu gorące napoje, rozcierano, żeby przywrócić krążenie. Robiono wszystko, co należało robić. Wysiłki te były daremne, nie zdołały wydobyć chorego ze stanu odrętwienia, w jakim się znajdował, ani przywrócić do świadomości ducha.

Mimo wszystko to nie zwłoki przywiózł Summy Skim; czy jednak ten nieszczęśnik wróci do życia...? W tej sprawie doktor Pilcox odmawiał wypowiedzi.

Jacques Laurier. Jak widzieliśmy – takie było imię i nazwisko tego Francuza zapisane w adresie listów znalezionych w jego portfelu. Najnowszy miał datę sprzed pięciu już miesięcy i przybył z Nantes¹. Matka napisała do swojego syna, w Dawson City, Klondike, oczekiwała na odpowiedź, która być może nie nastąpiła...

Summy Skim i Ben Raddle przeczytali te listy. Może dadzą jakieś wskazówki o ich adresacie, a jeśli nie przeżyje, czy nie trzeba będzie napisać do jego biednej matki, że nigdy więcej go nie zobaczy...?

Na podstawie tych listów, w liczbie czterech, zdołano ustalić, że Jacques Laurier opuścił Europę już dwa lata wcześniej, lecz nie udał się od razu do Klondike, żeby zajmować się poszukiwaniem złota. Niektóre adresy wskazywały, że musiał najpierw szukać szczęścia na terenach złotonośnych w Ontario i Kolumbii. Następnie, niewątpliwie zwabiony bajecznymi wiadomościami z gazet Dawson City, dołączył do tłumu górników. Nie wydawało się przy tym, aby był właścicielem *claimu*, ponieważ jego portfel nie zawierał aktu własności. Jednak obok tych kilku listów znajdowała się kartka papieru, która szczególnie przykuła uwagę Bena Raddle'a.

Była to szkicowa mapa sporządzona ołówkiem; jej dość nieregularnie kreślone linie przedstawiały rzekę, do której wpadało kilka dopływów i która zdążała na zachód. Tak przynajmniej należało przyjmować, zakładając przyjętą orientację tej mapy. Nie wydawało się jednakże, żeby ten nurt wodny mógł być Jukonem lub jego dopływem Klondike. Liczba umieszczona w narożniku szkicu podawała wyż-

¹ *Nantes* – miasto w zachodniej Francji, dawna stolica Bretanii, miejsce urodzenia J. Verne'a.

szą szerokość geograficzną, poza północnym kołem podbiegunowym. Jeśli więc mapa odnosiła się do jednego z obszarów Dominium, to do takiego, który przecinał sześćdziesiąty ósmy równoleżnik¹. Brakowało jednak liczby długości geograficznej. Stąd nie można było ustalić, w której części Ameryki Północnej powinna się znajdować.

Czy zatem Jacques Laurier udawał się do owej krainy, czy też wracał z niej, kiedy Summy Skim spotkał go w pobliżu Dawson City...? To nigdy nie stanie się wiadome, jeśli śmierć zabierze nieszczęsnego Francuza, zanim odzyska on przytomność.

Nie budziło również wątpliwości, że człowiek ten należał do rodziny o pewnej pozycji społecznej. Świadczyły o tym niepodważalnie listy jego matki, napisane dobrym stylem. Nie był robotnikiem, ale wskutek jakich przeciwności losu, jakich nieszczęść doszedł do takiego stanu, do tej nędzy, która bez wątpienia dobiegnie kresu na jego szpitalnym łóżku...?

Minęło kilka dni i pomimo lekarstw doktora Pilcoksa, pomimo opieki zakonnic, Jacques Laurier ledwo potrafił odpowiadać na pytania, które zadawał mu Ben Raddle. Zastanawiano się nawet, czy zachował nadal cały swój rozum i czy jego umysł przetrwał próby awanturniczego życia, które w świecie poszukiwaczy złota pochłaniało tak wiele ofiar!

Kiedy spytano o to doktora Pilcoksa, ten odpowiedział:

– Należy się obawiać, że umysł naszego pacjenta został mocno zachwiany... Kiedy otwiera oczy, dostrzegam w nich zamglony wzrok, który budzi we mnie lęk...!

– A jego stan fizyczny czy się polepsza...? – zapytał Summy Skim.

– Jak dotąd nie – oświadczył lekarz – i wydaje mi się, że jest równie poważny jak stan jego ducha.

– Uratuje pan jednak tego biednego Francuza! – powtarzały siostra Marthe i siostra Madeleine...

– Dołożymy wszelkich naszych starań – odpowiedział lekarz – ale mało we mnie nadziei.

¹ *Równoleżnik* – u J. Verne’a: południk; chodzi tutaj o szerokość, a nie długość geograficzną.

Jeśli doktor Pilcox, tak zwykle pełen pewności siebie, mówił w ten sposób, to dlatego, że ani trochę nie wierzył w wyzdrowienie Jacques'a Lauriera.

Ben Raddle nie chciał jednak rozpaczć. Uważał, że z czasem nastąpi poprawa. Jeśli nawet Jacques Laurier nie wróci do zdrowia, to przynajmniej odzyska rozum, będzie mówił, odpowiadał... Będzie można się od niego dowiedzieć, dokąd się udawał albo skąd przybywał... Napisać do jego matki... Gdyby nie przetrzymał, to wypowie swoje ostatnie życzenia... a umierając, będzie miał pociechę zyskania pewności, że zostaną one ściśle spełnione. Będzie miał świadomość, że przyjaciele, prawie rodacy, czuwali przy jego łóżku...!

Cóż, może i istniał powód, aby sądzić, że doktor Pilcox zbyt mocno wątpił w skuteczność swojego leczenia. Dwa dni później poprawa, na którą tak niecierpliwie czekał Ben Raddle, jakby zaczęła się pojawiać. Stan nieprzytomności, w jakim znajdował się Jacques Laurier, zdawał się wyglądać na mniej całkowity. Jego oczy pozostawały dłużej otwarte. Były bardziej skupione. Tak! Bez wątpienia zadawały pytania, zdradzały zdumienie na widok tego pokoju, ludzi zgromadzonych wokół łóżka, lekarza, Bena Raddle'a i Summy'ego Skima, dwóch zakonnic... Wydawały się mówić: Gdzie jestem...? Kim jesteście...? Wyczuwało się jednak, że wkrótce znów się zamkną... że był to tylko jeden błysk, jedna z ostatnich reakcji życia na nadchodzący koniec... że ten nieszczęsny człowiek jest na progu śmierci...

Dlatego lekarz kręcił głową jak człowiek, który nie mógł się mylić. Choć umysł chorego zabłysnął, to był w przededniu wygaśnięcia.

Siostra Marthe pochyliła się nad wezgłowiem łóżka i Jacques Laurier bardzo cicho, głosem przerywanym westchnieniami, ledwo słyszalnym, wyszeptał kilka słów, na które padła odpowiedź:

– Jest pan w pokoju szpitala...

– Gdzie? – pytał dalej chory, próbując się podnieść.

Ben Raddle podtrzymał go wtedy i powiedział:

– W Dawson City... Sześć dni temu znaleziono pana na drodze... leżącego... nieprzytomnego... i przewieziono tutaj...

Powieki Jacques'a Lauriera opadły na kilka minut. Wydawało się, że ten wysiłek go wyczerpał. Lekarz podał mu kilka kropli kordiału¹, które doprowadziły krew na blade policzki, a słowa na usta.

– Kim jesteście...? – zapytał.

– Kanadyjczykami pochodzenia francuskiego – odpowiedział Summy Skim – przyjaciółmi Francji... Proszę nam zaufać... Uratujemy pana...!

Na ustach pacjenta zarysował się rodzaj uśmiechu i dało się słyszeć kilka słabych „dziękuję...”. Potem opadł znowu na poduszkę i zdaniem lekarza nie należało zadawać mu więcej pytań. Lepiej było pozwolić mu na odpoczynek. Czuwano przy jego łóżku, czekając w gotowości, aby mu odpowiadać, jeśli odzyska dość sił, aby mówić. Być może czuł jednak, że jego koniec jest bliski, gdyż łzy zwilżały mu oczy.

Upłynęły dwa dni, nie przynosząc ani pogorszenia, ani poprawy stanu Jacques'a Lauriera. Jego słabość ciągle się utrzymywała i można się było obawiać, że Francuz nie będzie w stanie wyzdrowieć. Jednakże w znacznych odstępach czasu, oszczędzając wysiłków, był w stanie mówić znowu, odpowiadać na pytania, które wydawał się wywoływać. Wyczuwało się, że jest wiele rzeczy, które ma do powiedzenia i które chce powiedzieć.

Ben Raddle nigdy nie opuszczał chorego. Nieustannie trwał przy nim, gotowy go wysłuchiwać. I w ten sposób poznawał jego historię, zarówno na podstawie tego, co Jacques Laurier mówił do niego, jak i tego, co wypowiadał w chwilach majaczenia. Wydawało się jednak, że były pewne okoliczności, przed wyjawianiem których się wzdragał, że miał tajemnicę, której nie ujawniał, dopóki uważał, że ma jakąkolwiek szansę na uniknięcie śmierci.

A oto, bez zagłębiania się w szczegóły, jaka była jego przeszłość.

Jacques Laurier miał czterdzieści dwa lata, silną budowę ciała i musiały go spotkać przerażające nieszczęścia, skoro aż tak bardzo ucierpiał.

¹ *Kordiał* – dawniej lek wzmacniający, zwłaszcza serce, później napój alkoholowy lepszej jakości.

Był Bretończykiem urodzonym w Nantes, gdzie nadal mieszkała jego matka, utrzymująca się ze skromnej wdowiej renty, jaką otrzymywała po śmierci męża, oficera piechoty, który nigdy nie awansował powyżej stopnia kapitana.

Jacques Laurier pragnął zostać marynarzem. Poważna choroba, na którą zapadł, kiedy miał zdawać egzaminy do Akademii Marynarki Wojennej, zatrzymała go na progu tej kariery. Po przekroczeniu ustawowego wieku musiał zaciągnąć się jako praktykant na statek handlowy, a po dwóch rejsach do Melbourne w Australii i San Francisco w Kalifornii został kapitanem żeglugi wielkiej. Z tym tytułem zaciągnął się jako kandydat na oficera do marynarki wojennej z nadzieją na zdobycie stopnia chorążego.

Jego służba trwała trzy lata. Był jednak na straconej pozycji w porównaniu z kolegami, którzy służyli na „Bordzie”¹. Zrozumiał, że jeśli nie zajdą bardzo rzadkie okoliczności, podczas których marynarz mógłby się wyróżnić, zawsze będzie pozostawał za nimi w tyle, złożył więc dymisję i poszukał zatrudnienia na jednym ze statków handlowych, których portem macierzystym było Nantes.

Stanowisko dowódcy statku trudno było uzyskać i musiał się zadowolić pozycją pierwszego oficera na żaglowcu pływającym po morzach południowych.

Minęły tak cztery lata. Miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat. Jego ojciec właśnie zmarł, pozostawiając panią Laurier, jak powiedziano, w stanie bliskim nędzy. Jacques Laurier na próżno próbował zamienić stanowisko pierwszego oficera na kapitana marynarki handlowej. Nie miał funduszy, by nabyć udziały w statku, jakim pragnął dowodzić, jak to się zwykle odbywało. Pozostawanie zastępcą kapitana zapewniało mu niezbyt ciekawą przyszłość, jak więc mógłby zyskać dostatek, choćby bardzo skromny, o jakim marzył dla swojej matki... Tak... zwłaszcza dla niej!

¹ *Borda* – francuski trójmasztowy okręt wojenny, zwodowany w roku 1847 pod nazwą „Valmy”, w 1863 przemianowany na „Borda” i przeznaczony na okręt szkolny Akademii Marynarki Wojennej w Breście, rozebrany w 1891; nazwę tę nosiły także inne okręty szkolne, stała się więc synonimem Akademii.

Długie rejsy zawiodły go do tych części Australii i Kalifornii, w których złoża złota przyciągały tylu emigrantów. Jak zawsze bardzo mała ich liczba się wzbogaciła, znacznie większą część czekała tylko ruina i bieda. Pomimo to Jacques Laurier, zaślepiony podobnie jak wielu innych, postanowił zbić fortunę na niebezpiecznej drodze poszukiwacza złota.

W tym właśnie czasie uwagę całego świata przyciągały kopalnie Dominium, zanim jeszcze jego bogactwo w metale tak zaskakująco powiększyły odkrycia w Klondike. W innych swych miejscach, mniej odległych i łatwiej dostępnych, Kanada posiadała obszary złotonośne, na których wydobywanie odbywało się w lepszych warunkach, nie będąc przerywane przez straszliwe zimy terenów Jukonu, takie jak rejon Ontario¹ w Kolumbii Brytyjskiej. Jedną z tych kopalń, być może najważniejszą, „Le Roi”², nabyta w 1890 roku za śmiesznie niską cenę trzech centów za akcję, przyniosła w ciągu dwóch lat dywidendę w wysokości czterech milionów pięciuset tysięcy franków, a jeszcze dawała pięćset tysięcy franków zysków miesięcznych.

To właśnie pracę dla tej spółki rozpoczął Jacques Laurier. Ten jednak, kto wynajmuje innym trudy swojej głowy albo rąk, zwykle się dzięki temu nie wzbogaca. Trzeba mieć udział w interesie, trzeba mieć prawo do zysków z niego. Ale nie można zostać akcjonariuszem bez zakupu akcji, odważnemu zaś i być może zbyt lekkomyślnemu Francuzowi brakowało pieniędzy. Marzył o bogactwie szybko osiągniętym dzięki jakiemuś szczęśliwemu uśmiechowi losu, a jak można na niego liczyć, pozostając jednym z wyrobników, a nawet jednym z robotników w „Le Roi”...?

Mówiono wtedy o odkryciach dokonanych na ziemiach w dorzeczu Jukonu. Nazwa Klondike zaślepiała, jak przedtem nazwy Kalifor-

¹ Ontario – nieznany rejon Kolumbii Brytyjskiej.

² Le Roi – kopalnia złota w pobliżu miasteczka Rossland w rejonie Kootenay, a nie Ontario, w południowej części Kolumbii Brytyjskiej, powstała po odkryciu tam złota w roku 1890, sprzedana wkrótce potem przez pułkownika Toppinga za 30 tys. dolarów spółce Spokane; w 1898 za ponad trzy miliony dolarów kupiona przez British American Corporation.

nia, Australia i Transwaal. Podążały tam tłumy górników, i Jacques Laurier pociągnął z tymi tłumami.

Pracując na złożach w Ontario, poznał pewnego Kanadyjczyka pochodzenia angielskiego, Harry'ego Browna. Obu pobudzała ta sama ambicja, pożerało to samo pragnienie osiągnięcia powodzenia. To właśnie ów Harry Brown wywarł największy wpływ na Jacques'a Lauriera. Przekonał go do opuszczenia zajmowanego stanowiska i wyruszenia w nieznane – owo nieznane, który zwykle przynosi więcej rozczarowań niż korzyści. Obaj, z małymi oszczędnościami, jakie mieli, wyruszyli do Dawson City.

Postanowili tym razem pracować na własny rachunek. Było jednak oczywiste, że na placarach nad Bonanza, Eldorado, Sixty Miles lub Forty Miles, choćby nawet nie osiągały one ogromnie wygórowanych cen, nie mogli znaleźć wolnego miejsca. Targowano się już o *claimy* warte tysiące tysięcy dolarów. Trzeba było udać się dalej, na północ Alaski lub Dominium, daleko za wielką rzekę, gdzie niektórzy śmiali poszukiwacze zgłaszali tereny złotonośne. Trzeba było dotrzeć tam, gdzie nikt wcześniej nie dotarł. Trzeba było odkryć jakieś nowe złożę, którego własność przypadnie pierwszemu, który je obejmie, i kto wie, czy nie zostanie on nagrodzony wydobyciem równie korzystnym jak i szybkim...?

To właśnie wmawiali sobie Jacques Laurier i Harry Brown. Bez wyposażenia, bez pracowników, z zakupionym za resztę pieniędzy jedzeniem na osiemnaście miesięcy opuścili Dawson City i żywiąc się zdobyczą z polowań, wyruszyli na północ od Jukonu przez kraj ciągnący się za kołem podbiegunowym.

Lato zaczęło się wtedy w pierwszych tygodniach czerwca, dokładnie sześć miesięcy przed dniem, w którym w środku zimy 1897-1898¹ roku Jacques Laurier został odnaleziony umierający w pobliżu Dawson City. Jak daleko dotarła wyprawa dwóch poszukiwaczy przygód...? Czy doprowadziła ich na skraje kontynentu, na wybrzeże Oceanu Lodowego...? Czy odkrycie jakiegoś złoża wynagrodziło im tak wiel-

¹ Powinno być 1898-1899.

kie wysiłki okupione jakże wielkim zmęczeniem...? Nic na to nie wskazywało, biorąc pod uwagę stan wyczerpania, wyzbycia wszystkiego, w jakim został znaleziony jeden z nich...! I był on sam... Czy wiedział coś o swoim towarzysz...? Czy Harry Brown umarł na owych odległych terenach, skoro nie wrócił z Jacques'em Laurierem? Tak, ale śmierć napotkał w drodze powrotnej do Dawson City, podczas której on i jego towarzysz zostali napadnięci przez Indian... skradziono im samorodek o ogromnej wartości, który znaleźli... Gdzie...? Tego Jacques Laurier nie powiedział...

To była ostatnia informacja, jaką Ben Raddle zdołał uzyskać od chorego. Poza tym całą tę bolesną historię udało mu się pozyskać tylko w urywkach, kiedy odrobina przytomności umysłu powracała pacjentowi, którego wyczerpanie, jak przewidział doktor Pilcox, narastało z dnia na dzień.

Natomiast na temat wyników tej wyprawy, tego, czy były one znaczne czy żadne, na temat terenu, do którego dotarli Jacques Laurier i Harry Brown i skąd wrócili z samorodkiem skradzionym przez Indian, inżynier nie dowiedział się jeszcze niczego i być może nigdy już się nie dowie, ponieważ istniało ryzyko, że tę tajemnicę biedny Francuz zabierze do grobu na cmentarzu w Dawson City, gdzie wkrótce zostanie złożony...!

Istniał wszakże dokument – co prawda niekompletny – który bez wątplenia dopełni zakończenie tej historii. Był nim szkic znaleziony w portfelu Jacques'a Lauriera, na pewno mapa kraju, w którym on i jego towarzysz spędzili ostatni sezon letni. Jaki to kraj...? Gdzie płynął ów *creek*, którego kręta linia biegła ze wschodu na zachód...? Czy był on dopływem Jukonu, czy Porcupine¹...? Czy przecinał tę część ziem Kompanii Zatoki Hudsona, która otaczała Fort Macpherson, w kierunku ujścia Mackenzie, wielkiej rzeki, która wpada do Morza Arktycznego...? Kiedy Ben Raddle podsuwał przed oczy Jacques'a Lauriera tę mapę, przypuszczalnie narysowaną przez niego, jego spoj-

¹ *Porcupine* – rzeka w północno-zachodniej części Ameryki Północnej; długość 916 km, źródła w górach Ogilvie, ok. 160 km na północ od Dawson City, prawy dopływ Jukonu, wpada do niego pod Fort Jukon.

rzenie ożywiało się na chwilę, rozpoznawało ją... wydawało się mówić: „Tak! Jest tam... jest właśnie tam...!” I ani Ben Raddle, ani majster nie chcieli wątpić, że w tamtym miejscu dokonano jakiegoś ważnego odkrycia. Wydawało im się nawet, że gdyby chory miał siłę mówić, to nie chciałby powiedzieć wszystkiego, co wiedział na ten temat...

Tak, daleko w głębi tej duszy gotowej opuścić wyczerpane ciało może pozostała jeszcze nadzieja na powrót do życia? Może ten nieszczęśnik mówił sobie, że nie straci nagrody za tyle trudów i że zobaczy jeszcze swoją matkę, której zapewni wygody podczas dni jej starości...? Może myślał o wszczęciu prac po zimie, kiedy zostanie już wyleczony...?

Minęło kilka dni. Pora zimna panowała wtedy w pełni. Przy suchym powietrzu temperatura spadała nieraz aż do pięćdziesięciu stopni poniżej zera. Nie można było stawiać czoła mrozom na zewnątrz. Godziny, podczas których nie przebywali w szpitalu, dwaj kuzyni spędzali w swoim pokoju w hotelu. Czasami, owinąwszy się w futra aż do głowy, chodzili do jakiegoś kasyna albo domu gry, ale tam nie grali. Przybytki te były zresztą mało odwiedzane, bo większość górników przed zimną pogodą, kiedy drogi były jeszcze przejezdne, udała się do Dyea, Skagway lub Vancouver. To tam faro i monte hulały z nie-
możliwą do pojęcia zawziętością.

Niewykluczone, że Hunter i Malone osiedli na zimę w jednym z tych miast. Pewne było to, że od czasu katastrofy nad Forty Miles Creek nikt nie widział ich w Dawson City. Z drugiej zaś strony nic nie wskazywało na to, aby znaleźli się wśród ofiar trzęsienia ziemi, których tożsamość została rozpoznana dzięki staraniom policji kanadyjskiej i amerykańskiej.

Należy wiedzieć, że w te dni, często zakłócanie burzami śnieżnymi, Summy Skim i Neluto nie mogli chodzić na polowania, ku ich wielkiemu żalowi, gdyż niedźwiedzie¹ zbliżały się do okolic Dawson City.

Tymczasem choroby, które rozwijały się pod wpływem owego ogromnego spadku temperatury, nie przestawały dziesiątkować mia-

¹ O tej porze roku na terytorium Jukonu niedźwiedzie śpią już snem zimowym.

sta. Szpital nie mógł już pomieścić chorych, od razu zastępujących tych, których śmierć wysłała na cmentarz, i także miejsce w pokoju zajmowanym przez Jacques'a Lauriera wkrótce miało zostać zwolnione.

Z pewnością nie brakowało mu opieki. Był otoczony wyjątkową troską. Siostry pielęgnowały go z poświęceniem, doktor Pilcox wykorzystywał wszelkie możliwości przywracania sił temu biednemu, wyczerpanemu ciału. Ben Raddle i Summy Skim traktowali chorego jak rodaka. Ten jednak nie mógł już przyjmować żadnego pokarmu i było widać, że życie wyciekało z niego każdego dnia, a można by nawet powiedzieć – każdej godziny.

Ranikiem dwudziestego siódmego listopada Jacques Laurier miał mocny kryzys. Można było sądzić, że nie zdoła go przetrzymać. Rzucał się i choć był taki słaby, z trudem przytrzymywano go w łóżku. Z jego ust niemal nieustannie wymykały się te słowa:

– Tam... tam... wulkan... wybuch... złoto... złota lawa...!

Potem zaś, krzyczał rozpaczliwie:

– Matko... matko...! to jest dla ciebie... tylko dla ciebie!

Po długiej udręce wzburzenie ustąpiło i nieszczęśnik popadł w stan głębokiego wyczerpania. Życie objawiało się w nim wyłącznie płytkimi oddechami. Nie wydawało się jednak, żeby zaczęła się agonია. Na pewno, jak powiedział lekarz, nie zdoła on przetrzymać drugiego takiego kryzysu, który zakończy się wydaniem ostatniego tchnienia.

Po południu Ben Raddle przyszedł usiąść przy łóżku chorego. Nie tylko zastał go spokojniejszym, ale też wydawało się, że całkowicie wróciła mu świadomość. Nastąpiła poprawa jego stanu, jak to czasami bywa na krótko przed śmiercią.

Jacques Laurier ponownie otworzył oczy, a jego spojrzenie, wyjątkowo mocno skupione, padło na Bena Raddle'a, tego Bena Raddle'a, któremu głównie opowiadał o swoim pełnym przygód życiu, Bena Raddle'a, który często mu mówił:

– Proszę widzieć w nas przyjaciół... przyjaciół, którzy pana nie opuszczą... Wszystko, co możemy dla pana uczynić... dla pańskiej matki... to uczynimy!



Po tym wysiłku pacjent popadł znów w odrętwienie, z którego po kilku minutach powrócił. Jego pierwsze spojrzenie padło na inżyniera.

I wtedy, poszukawszy ręką dłoni Bena Raddle'a, Jacques Laurier powiedział:

– Słuchaj mnie pan dobrze... umrę... moje życie się kończy... czuję to...

– Nie... mój przyjacielu... nie! – zaprzeczył inżynier. – Odzyska pan siły...

– Umrę – powtórzył Jacques Laurier. – Proszę bliżej, panie Raddle, proszę wysłuchać dobrze i zapamiętać, co panu powiem!

Wtedy głosem, który stopniowo zanikał, ale był wyraźny – głosem człowieka, którego rozum pozostał nietknięty, który władał całym swoim umysłem – powiedział Benowi Raddle'owi:

– Mapa, którą pan przy mnie znalazł... którą mi pokazał... niech pan pokaże mi raz jeszcze.

Ben Raddle spełnił tę prośbę.

– Mapa ta – mówił dalej Jacques Laurier – przedstawia rejon, z którego wróciłem... Znajdują się tam złoża najbogatsze na całym świecie... Nie będzie potrzeby przerzucania ziemi w celu wydobycia złota... Sama ziemia wyrzuci ją ze swoich wnętrzności...! Tak...! Tam... odkryłem górę, wulkan, który zawiera ogromną ilość złota... Tak! Złoty wulkan... Golden Mount¹...

– Złoty wulkan...? – powtórzył Ben Raddle tonem wyrażającym pewne niedowierzanie.

– Należy mi wierzyć! – zawołał Jacques Laurier z pewną złością, próbując podnieść się w łóżku. – Należy mi wierzyć, a jak nie dla pana, to dla mojej matki... spadek, którym się pan z nią podzieli! Wspiąłem się na tę górę. Zszedłem do jej wygasłego krateru... Jest wypełniony złotonośnym kwarcem, samorodkami... Wystarczy je zbierać...

Po tym wysiłku pacjent popadł znów w odrętwienie, z którego po kilku minutach powrócił. Jego pierwsze spojrzenie padło na inżyniera.

– Dobrze – szepnął – jest pan tutaj... przy mnie... wierzy mi pan... i pójdzie tam... tam... do Golden Mount...!

¹ *Golden Mount* (ang.) – Złota Góra.

Jego głos cichł coraz bardziej, i Ben Raddle, którego rękę przyciągnął, pochylił się nad jego łóżkiem.

– Jest tam... – powiedział – w miejscu oznaczonym na mapie przez X... w kraju... w pobliżu tego *creek* Rubber¹, który wpada do lewej odnogi rzeki Mackenzie... prosto na północ od Klondike... wulkan, z którego bliski wybuch wyrzuci samorodki... którego żużel jest ze złotego pyłu... tam... tam...”.

Jacques Laurier, na wpół uniesiony w ramionach Bena Raddle’a, wyciągnął drżącą rękę w kierunku północnym...

Potem z jego sinych ust wyszły te ostatnie słowa:

– Dla mojej matki...! Dla mojej matki!

Wstrząsnęła nim potężny konwulsja i opadł z powrotem na łóżko. Był martwy.



¹ *Rubber* (ang.) – guma, nie ma takiej rzeki w Kanadzie.

Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!